



Wydanie z dnia: wtorek, 18. wrzesień 2018 »

Prawoznawstwo i prawowiedztwo



fot. frankie's/Shutterstock

Stanisław Lem zauważył, że każdej nauce towarzyszy jakaś pseudonauka. Czy prawoznawstwo także ma swojego karykaturzystę?

Na fali obserwowanego sporu politycznego, który przeniósł się nie tylko na sferę praktyki prawniczej, lecz powoduje także erozję środowiska nauki, pojawia się niekiedy zarzut (a może refleksja) o posługiwaniu się przez drugą stronę tzw. antyteorią prawa. Tego rodzaju stwierdzenia pojawiają się w polskim dialogu teorii prawa po przełomie 1989 r. zwykle wtedy, gdy jakiś uczestnik wielkiego dyskursu prawniczego (czasem jakiś sąd, czasem znany przedstawiciel środowiska nauki) posługuje się twierdzeniami teoretycznymi, jawnie je instrumentalizując albo tak wypaczając, że przy pozostawieniu ich wierzchniej warstwy całkiem zmienia ich sens. Wśród takich wypowiedzi można przywołać świetną retorycznie glosę prof. Jerzego Zajadły „Pięć minut antyfilozofii antyprawa” (glosa do uchwały SN z dnia 20 grudnia 2007 r., I KZP 37/07 ws. odpowiedzialności sędziów z okresu stanu wojennego). Wypowiedzi takie pojawiają się także obecnie jako argument mający dyskredytować drugą stronę sporu. Wykorzystuje się wybrane, uznawane za niekwestionowane, twierdzenia teoretyczne dla uzasadnienia określonej aktywności – zmian prawa, zapadania określonych orzeczeń itp. W felietonie tym chciałbym zastanowić się nie tyle nad samą treścią tych wypowiedzi, ile nad przyczynami tego zjawiska, które chyba wpisują się w szerszy i doskonale znany przedstawicielom nauk ogólnych prawoznawstwa problem, który łączy się z kwestią naukowości prawoznawstwa.

Nauka i karykatura

W słynnej powieści „Solaris” Stanisław Lem czyni spostrzeżenie, że „każdej nauce towarzyszy zawsze jakaś pseudonauka, jej dziwaczne wykoślawienie w umysłach pewnego typu; astronomia ma swego karykaturzystę w astrologii, chemia miała ją kiedyś w alchemii...” (S. Lem, Solaris, Wyd. Literackie, 1994, s. 81.). Czy prawoznawstwo – jak zwykle się nazywać konglomerat nauk uznawanych za prawne – ma swojego karykaturzystę? Owe pseudonauki, które wymienia Lem, wykorzystują podwaliny swych odpowiedników uznawanych za „pełnoprawne” nauki, tworząc jednak rzeszę twierdzeń alternatywnych. Wydaje się, że ich wspólną cechą jest negacja metody naukowej jako jednej z kluczowych, zgodnie z ogólną metodologią nauk, podstaw uznawania danej dyscypliny wiedzy za naukę w pełnym tego słowa znaczeniu. Za absolutnie podstawowe kryteria przyjęcia, że jakaś dyscyplina wiedzy jest nauką, uznaje się bowiem zwykle określenie przedmiotu (obszaru) badań oraz – właśnie – unikatową dla tego obszaru albo przynajmniej przeniesioną na jego grunt metodę badawczą. W spełnieniu tych podstaw prym wiodły zawsze nauki przyrodnicze, które w łatwy sposób oznaczają swój przedmiot badań, np. zjawisko chemiczne, fizyczne, biologiczne, astronomiczne itp. i w szerokim zakresie posługują się eksperymentalną metodą badawczą. Sposób działania badacza sprowadza się zwykle do stworzenia teorii rozumianej jako zespół twierdzeń opisujących i wyjaśniających jakieś zjawisko wchodzące w obszar wyjaśniania z ujawnioną metodologią, z której zastosowaniem inny badacz może uzyskać te same wyniki. Wnioski z takich badań można uznać za prawdziwe, bowiem w powtarzalny sposób uzyskuje się tożsame albo przynajmniej wysoce podobne wyniki. Potwierdza to prawdziwość teorii, której przydatność mierzy się po prostu tym, na ile jest ona w stanie opisać i wyjaśnić jakieś zjawisko – zatem na ile przystaje ona do przedmiotu jej opisu.

Prawoznawstwo z trudem spełnia te kryteria, chociaż w naszej kulturze posiada ono wielowiekową tradycję uznania za naukę, i to podstawową. Było przecież wykładane już od początku istnienia uniwersytetów.

Co z metodologią?

Obszar badawczy jest w przypadku nauk prawnych niekwestionowany i związany z doniosłością systemu norm, które nie są autonomiczne wobec innych porządków normatywnych (religii, moralności i norm społecznych). To oczywiście prawo, a cywilizacja nadaje mu tę szczególną cechę, że stanowi ono spoiwo każdego społeczeństwa i państwa w jego wymiarze instytucjonalnym. Trudność w zdefiniowaniu „metody badawczej” dostrzegają jednak sami prawnicy. Jak zauważają Jerzy Stelmach i Bartosz Brożek (por. B. Brożek, J. Stelmach, Metody prawnicze. Logika – analiza – argumentacja – hermeneutyka, Kraków 2004, s.24.), to właśnie ten element podlega najczęściej krytyce z perspektywy innych nauk społecznych, nie wspominając już o naukach przyrodniczych. Nie ma bowiem ani jednej metody prawniczej, ani zgody na jakiś jeden standard metodologiczny, który stanowiłby określony punkt odniesienia w sposobach działania prawnika, wszystko jedno, czy pracującego z przedmiotem poznania, jakim jest tekst aktu

normatywnego w sposób praktyczny (np. w ramach stosowania prawa), czy naukowy (np. w ramach studiów dogmatycznych na uniwersytecie). Co więcej, różne kierunki prawnicze, czasem zwane filozofiami prawa, wyprowadziły konkurencyjne metody prawnicze, co prowadzi do takich paradoksów, że siatka pojęciowa, którą posługują się niekiedy prawnicy, sprzyja różnicom znaczeń i brakowi porozumienia. Wychodzi więc na to, że prawnik-pozytywista nie może się niekiedy porozumieć z „prawnikiem-naturalistą”. Właściwie jedynym stałym punktem odniesienia jest aksjologia, czyli podstawowy zestaw wartości, które prawo powinno chronić i co do których zgadzamy się, że poszczególne znaczenia norm zachowania się nie mogą ich naruszać. To dlatego mówi się czasem, ale w odpowiednio rozumianym „skrócie myślowym”, że ponad prawem (czy np. konstytucją) jest jakieś prawo uniwersalne absolutyzujące dobro, życie ludzkie, godność itp. Jest to oczywiście pokłosie prawnonaturalnej koncepcji, że prawo ludzkie (pozytywne) powinno w swej podstawowej, aksjologicznej treści być ucieleśnieniem prawa boskiego (absolutyzującego ideę Boga jako dobra absolutnego). Zwróćmy jednak uwagę, że zgoda co do powszechności tych wartości, których się przecież nie neguje, nie wnosi nic do praktycznego zajmowania się prawem. Wszystko jedno, czy mówimy o nim w kontekście jego praktycznego ujmowania (zatem wykładni dokonywanej w ramach procesów jego stosowania, a czasem też tworzenia), czy też w ramach doktrynalnych studiów nad treścią poszczególnych instytucji prawnych i ich wzajemnym powiązaniem.

Części wspólne

Czy zatem można mówić o antynauce prawa rozumianej jako przeciwstawianie jej teorii i antyteorii? By tak było, musiałby istnieć niepodważalny, przyjęty przynajmniej przez większość katalog takich niekwestionowanych przez nikogo twierdzeń w stosunku do prawa. Tu też objawia się najsilniej oś obecnego sporu. Przeważa bowiem pogląd, że katalog taki istnieje i ma swój rodowód chociażby w prawie rzymskim, a potem w rozwijanej przez stulecia w kulturze prawnej świata zachodniego ius interpretandi – podstawowej koncepcji wykładni prawa rozumianej przecież jako kluczowa „metoda” prawnicza – egzegeza aktu normatywnego. Każdy, kto zetknął się z praktyką wykładni prawa stanowionego w kulturze anglosaskiej i porównuje ją z odpowiednikiem z kultury europejskiej, łatwo zauważy, że owe metody prawnicze, czyli sposoby zachowania się prawnika podczas jego pracy z tekstem prawnym, są mniej więcej takie same. Wywodzą się bowiem z ogólnej kultury interpretacyjnej i opartych na pewnych podstawowych wartościach regułach działania. Część z nich ma charakter stricte pragmatyczny, czyli opisuje, w jaki sposób działać względem tekstu prawnego, by uzyskać znaczenie. Część jest apragmatyczna – operuje „gotowymi” znaczeniami, do których działanie prawnika nie powinno doprowadzić (np. zakaz działania prawa wstecz, prawo do obrony, zachowanie życia człowieka itp.). Właśnie to kryterium stało się podstawą podziału wprowadzonego do polskiej teorii prawa przez prof. Macieja Zielińskiego, który zauważa jednak, że większe zastosowanie, także ze względu na status metody prawniczej i przydatności, mają reguły pragmatycznego działania prawnika (posługiwanie się pewnymi dyrektywami wykładni, przede wszystkim o charakterze językowym, które w większym stopniu standaryzują efekt działania prawnika, jakim ma być uzyskanie tożsamego znaczenia w stosunku do tego samego obiektu poznania – jakiegoś fragmentu tekstu prawnego). Jest to z pewnością koncepcja, która wychodzi naprzeciw opisanym powyżej trudnościom metodologicznym i deficytom nauki prawa, które podlegają krytyce.

Oczywiście podstawowy problem sprowadza się zwykle do tego, czy jakieś twierdzenie uważane jest za takie pryncypium, czy też nie. Podsumowaniem może być tylko zatracający o banał wniosek, że relacja między teorią a karykaturą w postaci antyteorii prawa zależy od lokalnej kultury prawnej i – nie ma się co oszukiwać – społeczno-politycznej. Innymi słowy, im kultura prawna jest bardziej zakorzeniona i trwała, tym tendencje populistyczne, które można uznać za wpisujące się w mechanizmy antyteorii, są słabsze niż te, na które zgadzają się wszyscy jako na podstawowe, obowiązujące i nienaruszalne. Z drugiej strony, co też często się pomija, muszą być one akceptowalne społecznie. W przeciwnym wypadku pozostają niezrozumiałe, co przejawia się w rozdźwięku między „myśleniem prawniczym” a jakimś zdroworozsądkowym postrzeganiem reguł przez społeczeństwo, stosownie do słuszności i sprawiedliwości. Skutkuje to też drastyczną społeczną alienacją środowiska nauki prawa. I nie chodzi tu o konfrontację pojęć „prawo” i „prawo ludowe” na wzór anegdoty o krześle i krześle elektrycznym. Chodzi o legitymację, zatem uzasadnienie prawa w poczuciu praworządności, które charakteryzuje dane społeczeństwo. Prawo i jego ogólna, dążąca do aksjomatyzacji nauka balansują więc ciągle między tym, co potoczne, ludzkie, a tym, co stałe, „naukowe”, a czasem niezrozumiałe. Ponownie więc warto przywołać Stanisława Lema. „Fakty istnieją tylko tam, gdzie nie ma ludzi [...], kiedy oni się pojawiają, są już tylko interpretacje” (S. Lem, „Śledztwo”, Kraków 1982, s.151). ©©

Autor

dr Artur Kotowski

Europejska Wyższa Szkoła Prawa i Administracji w Warszawie, fot. materiały prasowe (mailto: Europejska Wyższa Szkoła Prawa i Administracji w Warszawie, fot. materiały prasowe)